№ 3. Warszawa, dnia 28 Grudnia / 9 Stycznia 1871/2 r. Rok I. — Tom I.

WIENIEC

PISMO CZASOWE ILLUSTROWANE

WYCHODZĄCE DWA RAZY NA TYDZIEŃ.

Prenumerata w Warszawie:
We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie: rocznie rs. 5 kop. 40, półrocznie rs. 2 kop. 70, kwartalnie rs. 1 kop. 35, miesięcznie kop. 45.
Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:
Rocznie rs. 8, półrocznie rs. 4, kwartalnie rs. 2.

Wydawca Hipolit Orgelbrand.

Ekspedycya główna w Warszawie, ulica Bednarska N. 20.

W Cesarstwie Austryackiém: we Lwowie u Seyfartha i Czajkowskiego kwartal. flor. 3 cent. 25; na prowincyi z przesyłką pocztową, flor. 3 cent. 77.
W Krakowie w księgarni wydaw. dzieł tanich i p ożytecznych, kwartalnie: flor. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 52.
W W. Ks. Poznańskiém: u F. H. Richtera, kwartalnie tal. pr. 1 sgr. 22½, na prowincyi z przesyłką pocztową tal. 2 sgr. 7½.

SCENA.

Wieki średnie przejmując i wcielając zwolna w swój organizm kulturę starożytną, przejęły od niéj i scenę. Średnie wieki w swéj religijnéj żarliwości wszystkie zdobycze umysłowe nakierowały do religii, w służbę jéj zaprzęgały, wartość ich mierzyły religijnym cyrklem, wszystko co zań wystawało mieniąc sprawą szatana. Prawo cywilne ustępowało prawu kanonicznemu, filozofia wyraźnie nazwaną była służką religii (philosophia religionis ancilla). Jeżeli zatém przyjęły scenę, to tylko w znaczeniu illustracyi religijnéj: dawały jéj miejsce w kościołach i szkołach kościelnych.

Za emancypacyą myśli powszechnéj poszła i emancypacya sceny; wiek szesnasty ją sekularyzował, i odtąd scena stała się wyrazem myśli, uczuć, namiętności, dążeń i walk społecznych: oczywiście więc, wychodząc z zacieśnionego koła obsługi religijnéj, przeszła w obszerną dziedzinę moralności, psychologii i zadań powszechnie ludzkich. Największy blask na scenę spłynął z umysłu angielskiego, który,ześrodkowany w Szekspirze, stanowczo oddzielił nowoczesną scenę od jéj i starożytnego i średniowiecznego charakteru. Odtąd nie fatum zewnętrzne miało być sprawcą ludzkiéj doli, ale charakter i zdolność samego człowieka; scena nie miała być ograniczoną do świątobliwych jasełek, ale zostać na zawsze wielką widownią streszczającą życie w najrozleglejszym jego zakresie i w najpełniejszym obrazie. Ile jest strun, ile odcieni uzewnętrzniających tę uroczystą i przerażającą tajemnicę stworzenia, jaką jest życie ludzkie w jego indywidualnych i społecznych objawach,—tyle form i interesów przywłaszczyła sobie scena. Olbrzymie to zadanie teatr szekspirowski spełniając z niesłychaném i niezaprzeczoném powodzeniem, zyskał odrazu szlacheckie ostrogi. Ale szlachectwo zobowiązuje. To też idea angielskiego teatru znalazła, chociaż w innéj formie, silne poparcie w teatrze francuzkim siedmnastego stulecia. Ludzkość na stałym lądzie Europy literacka i nieliteracka, nawykła patrzeć na rzeczy przez szkła okopcone fałszem i brudem interesów dobru powszechnemu przeciwnych, przez szkła, które groźne powagi trzymały przed jéj oczami,—po raz pierwszy usłyszała wielkie prawdy i obowiązki poetycznie wypowiedziane przez dramaturgów francuzkich, ustami greckich i rzymskich bohaterów. Przy skrzętniejszém rozpoznaniu opadły draperye greckie, pozostała prawda otwarta, jasna, wstrząsająca duszą i organizmem, jak widok oazy wstrząsa wszystkiemi zmysłami spragnionego spoczynku wędrowca: niebawem ludzkość poezyę dramaturgów francuzkich, wytłómaczyła sobie na prozę, a ta scenę Kornela, Rasyna i Moliera rozszerzyła do daleko obszerniejszych granic.

Czy teatr zawsze już odtąd utrzymywał się na tym poziomie dostojeństwa i znaczenia? Bynajmniéj: reakcya polityczna powstrzymała jego żywotność, niedołęztwo wykonawców obniżyło jego wartość literacką; zamiast żywych kreacyj ukazywały się figury wystrzygane z patronów; aż rozwaga Lessynga, czarodziejski zapał Szyllera i wysoki umysł Getego powstrzymały jego upadek i szanowne miejsce zachowały mu wśród zajęć umysłowych ogółu.

Wiek dziewiętnasty rozmaicie korzysta z tego legatu przeszłości. Na talentach dramaturgicznych nie zbywało mu i nie zbywa, lecz użycie tych darów rozmaitém jest. Wiek dziewiętnasty, to wiek postępu, cudów naukowych, dążeń uzacniających, a zarazem wiek szarlataneryi i fabrykatu. Od czasu jak literatura zstąpiła z akademickich piedestałów, przestała ona być dziełem wyjątkowych ludzi, ale rozeszła się na szersze przestrzenie i przez to stała się chlebodajną;—od tego też czasu rozgościł się w niéj szarlatanizm i fabrykat. W czasach kiedy za płody literackie nie płacono tyle a tyle od wiersza lub aktu, piszący nie widząc w piórze zysku materyalnego, nie miał potrzeby fabrykować, brał się do pióra wtedy tylko, gdy myśl gwałtem wybijała się na zewnątrz, gdy natchnienie rozsadzało piersi, jak gaz rozsadza więżące go naczynie. Zwiększone potrzeby literackie wywołały mnóztwo robotników bez natchnienia, rzemieślników pióra, talent zastępujących wprawą i zręcznością. Co większa, widoki zysku i zdawkowéj wziętości jakie odsłoniła moda literatury, odwróciły od celów prawych istnie nawet zdolne umysły: ludzie utalentowani przestali być piastunami myśli, czystymi ofiarnikami przy ołtarzu sztuki, a stali się sługami hurtowych upodobań opłacanych złotem i protekcyonalnym uśmiechem; piękno wiekuiste poświęcili dla błyskotki chwilowéj, prawdę dla efektu, rysunek dla dekoracyi, zasadę dla poklasku. I stało się, że dziś, gust obałamucony nie potrafi już wybrać między prawdziwym utworem sztuki a fabrykatem szarlataneryi; szuka w sztuce nie już nektaru olimpijskiego ale haczyszu odalisek; to dlań smakowitsze co mocniéj podbudza rozwiedziony system nerwowy; przechodząc z ekscytacyi w ekscytacyę pada nareszcie w *delirium tremens* u nóg „pięknéj Heleny.“ Wiek dziewiętnasty ma tę zasługę, że pierwszy do literatury i sztuki wprowadził orgię, któréj wrzawa zagłusza głos krytycznego rozsądku.

Rzeczą jest nie potrzebującą dowodzenia, iż jak wszelkie dobre szczepi się z trudnością, tak złe rozrasta się i krzewi w sposób niewypowie-

dzianie łatwy i szybki: złego wcale nie trzeba popularyzować, ono samo się popularyzuje jak ospa lub cholera. To też, jeżeli się w dzisiejszych czasach zjawi gdzie utwór dramatyczny prawdziwie piękny, ogół z trudnością dowiaduje się o jego istnieniu, a poznajomienie się z nim bliższe należy do wyjątkowych rzadkości: ale niech się ukaże choć na jednéj scenie jakiś gorący skandal, to w téj chwili z zazdrosną łapczywością przyswajają go sobie wszystkie.

Ale czy takie jest zadanie sceny?

Na ten temat wieleby napisać można i wiele napisano jest od Arystotelesa do Laubego. To pewna, że scena, mając nieustannie do czynienia z człowiekiem, i tylko z człowiekiem, garnąc na swe terrytorya wszystkie przejawy społeczne, wkracza z konieczności w dziedzinę czynników instrukcyjnych i obyczajowych. Jest ona obrazem życia i zarazem jego krytyką; ona przedstawia i zarazem sądzi czyny ludzkie wraz z ich duchowemi pobudkami, przebacza i rozgrzesza, potępia i pochwala; słowem — wyrokuje o wartości zasad, czynów i charakterów ludzkich. Oprócz zatém zadania estetycznego, które do tychczas nie jest jeszcze stanowczo rozstrzygnięte w zasadzie swéj, ma ona aż nadto widoczne zadanie moralne, którego zasada jest jasną i niewyczerpaną; słusznie tedy utrzymuje Szyller (*), że scena jest do pewnego stopnia szkołą życia i praktycznéj mądrości; ileż to więc samemu mądrości téj posiadać potrzeba, ażeby godnie mistrza urząd piastować! Wyroki sceny zaczynają się tam gdzie się kończy zakres prawa zwyczajnego. Kiedy prawo ma charakter raczéj prohibicyjny i załatwia się z zewnętrznemi tylko zjawiskami, — scena dobiera się do najtajniejszych dźwigni serca ludzkiego, ona sposobem genetycznym rozwija całą historyę psychicznego zjawiska, czynu, odbywa z człowiekiem rachunek sumienia, uczy go poznawać samego siebie i drugich, podając tysiączne wskazówki do wnioskowania po owocach o drzewie. Na gruncie jéj opadają wszystkie larwy, rozum i głupota, szczęśliwość i nędza, w kształtach wyraźnych i prawdziwych przesuwają się przed człowiekiem, uczą go czcić albo pogardzać. Skazani jesteśmy na wspólne pożycie z łotrami jak *Tartuffe* albo z głupcami jak *Geldhab*; musimy albo unikać ich, albo spotykać się z nimi, pogromić ich albo im uledz. Ale widzieliśmy ich pierworodne typy, i już oni przestają nam być strasznymi; jesteśmy przygotowani do spotkania się z niemi; scena wydała nam ich tajemnicę, rozbroiła ich, uczyniła nieszkodliwymi. Kto roztropny, niechaj korzysta z tych przestróg, jakie daje scena.

Ależ sprawą jéj nie same przestrogi: ona daje cały świat zachęt i bodźców do dobrego. To co piękna religia nakazuje w pięknych zasadach, co zdrowa moralność wpaja w człowieka przepisem i nauczaniem, scena rozwija wrażeniami wstrząsającemi całym organizmem człowieka, tak ażeby pamięć tych wrażeń pozostała mu na całe życie. Występny Cynna, po wykryciu jego zamachu na życie dobroczyńcy, staje przed Augustem i zdaje się czytać w jego oczach wyrok śmierci, a ten patrzy z miłością w jego oblicze, i powiada łagodnie: „Bądźmy przyjaciołmi, Cynno!“ — Któż w stanie jest zapomnieć tego dreszczu wzniosłéj ducha rozkoszy, jaki przebiegł po jego żyłach, w chwili gdy usłyszał te słowa? i czy jest na świecie tak nizka dusza, któraby choć raz w życiu nie zapragnęła w analogicznéni położeniu stawić się na miejscu przebaczającego? Kto nie pożąda wcielić w duszę swą tych zasad i przekonań, jakie w stosunkach z młodym przyjacielem w najcięższych warunkach życia politycznego odsłania nieszczęśliwy Posa? Nie sięgając tak wysoko i tak daleko, zwracamy się do pamięci tych, którzy razem z nami widywali w Teatrze Rozmaitości maleńką sztuczkę *Biedny Rybak*. Czy w młodzieńczych naówczas duszach naszych nie ozwał się jakiś rozkoszny głos zachęcający do pięknych czynów, do poświęcenia nawet życia dla uratowania bliźniego, choćby ten stawał nam na drodze do osobistego szczęścia?...

Są to niewątpliwe korzyści moralne z działania sceny, takiéj, która wysoko trzyma chorągiew swego posłannictwa;—ma ona bowiem środki tak potężne, jakich żadna inna działalność ludzka nie posiada. Prawda, czysta prawda, jest silną sama przez się; cóż dopiero gdy wzmoże się najdzielniejszemi środkami, na jakie zdobyć się zdolen estetyczny zmysł człowieka! Doborowa poezya, żywe słowo pięknie wypowiedziane, akcya, ujęcie przedmiotu w epizod życia do złudzenia przedstawiający rzeczywistość, urok wystawy, pomoc muzyki i malarstwa, słowem co tylko wpływać może na zniewolenie umysłu i zmysłów człowieka, wszystko to scena do posługi swéj zabiera. Działanie też sceny jest nieprzeparte, silne do tego stopnia, że człowiek uczestnicząc, zostawia w teatrze cząstkę samego siebie a zabiera cząstkę inną, tę którą weń wpoiła moralna atmosfera sceny. Tak wielkie środki przywłaszczając sobie scena, przyjmuje zarazem wielką za nie odpowiedzialność. Zasługa jéj i chwała kiedy je zdolnie i umiejętnie do pożytecznych społeczeńskich zastosuje celów,—hańba i wzgarda jeśli tyle potężnego materyału zużyje na marne, albo co gorsza, w nieoględności swéj lub złéj wierze sponiewiera w sposób dobru moralnemu przeciwny.

Cztery są czynniki składające się na scenę: poeta, aktor, zarząd i publika; wszystkie one jednak dadzą się sprowadzić do téj ostatniéj, z któréj powstają trzy pierwsze i która wreszcie nadaje kamerton całéj scenicznéj harmonii. Od publiki głównie zależy czy scena ma być estetyczną mistrzynią życia, czy igrzyskiem lub hecą; w jéj ręku kontrola nad poetą i aktorem, ona jest panią losu ich obojga, w jéj mocy stawiać wymagania, kierować wyborem, uszlachetniać zawód i znaczenie obudwóch, albo je do poziomych sprowadzać rozmiarów. Publika jest panią, bo publika płaci. Zrozumiejmy to, że scena jest w innych nieco warunkach jak trybuna lub kazalnica: tu żadne stosowanie się miejsca mieć nie może, tu rządzą gołe zasady, tu nie ma warunku przypodobania się. Scena musi się starać o ten warunek, inaczéj pozostanie martwą i pustą. Zawiadowca sceny probujący gustu publiki znajduje się w położeniu człowieka, który zamierza znęcić do siebie jakieś nieznane istoty, szukające pożywienia. Rozleje przed niemi wino—nie idą, odwracają się; rozsypię przed niemi żołądź — rzucają się chciwie: dobrze zatém, sypcie im żołądź woła, na czeladź. Jeżeli publika okaże się obojętną na dzieła prawdziwéj wartości, jeżeli odwróci oczy od Mozarta i Webera, dajcie jéj Offenbacha; jeżeli nie zwabi się na Moliera, Hebbla lub Gutzkowa, sypcie jéj w postaci żołędzi *Gwoździe*, *Guziki*, *Czułe struny*, *Panny de Belle-Isle Gavautów i Minardów*, *Najserdeczniejszych*, *Frufru*, i tym podobne łakocie, a zalejcie to wszystko absyntem *Życia Paryzkiego*.

Zkąd się biorą liweranci tych tworów, które godnością swą i podobieństwem istnie zbliżają się do owych skrytych malowideł pod podwójnemi denkami tabakierek lub w głębi cygarniczek, albo śmielsze zdobią ściany pokoju wesołego kawalera? Oczywiście znikąd inąd tylko z zamiłowania publiki. Nie powiadamy tu co trzymamy o podobnych liwerantach, ale to pewna, że od publiczności tylko zależało, ażeby oni byli albo nie byli. Publiczność francuzka żądała ich, jako dopełnienia Mabilów, kawiarni śpiewających, i innych podobnych przybytków wrażeń; oni też stawili się na żądanie, i uszczęśliwiona Francya opłaciła ich złotem, tém samém, którém teraz opłaca swe upokorzenia moralne i polityczne. Nie tylko we Francyi dziś, ale i na całym świecie, równo z szybkim postępem realizmu w sztuce, rozsadowiła się zmysłowość. Stępione nadużyciem zmysły potrzebują podżegacza, ubiegają się oń; cała zwierzęca strona człowieka chyli się tam gdzie spodziewa się doznać jakiegoś ocknienia; i to wyrafinowanie zmysłów wtargnęło na scenę, która stała się tym sposobem służebnicą najniższych instynktów, do zepsucia swego naginających myśl i serce. Z jakiém to biciem serca młody człowiek musi przypatrywać się ciekawéj akcyi księcia Richelieugo otwierającego nocą tajemnym kluczem pokój, w którym zamiast Margrabiny spodziewa się znaleźć śpiącą pannę de Belle-Isle? Jakie to budujące muszą w nim wzniecać się uczucia, do jakich pięknych prowadzą myśli takie akcye jak gonitwa w *Najserdeczniejszych*, i to jeszcze w tak rozumny sposób rozwiązana za pośrednictwem zabitego lisa! O, ten *lis*, to cały postęp dramatu nowoczesnego nad dawnym. Więcéj nam takich, a niech przepadną Szekspiry i Moliery z całą swą metodą twórczości dramatycznéj! Ludzkość się kształci w pojęciach i wymaganiach, duch czasu się zmienia, i scena musi pośpieszać za nim, inaczéj upiorem zostanie wśród żyjących istot. Z drogi upiory archeologiczne!....

Są jednak umysły, którym się, zdaje że scena ma inne przeznaczenie jak galwanizować żyjące trupy i moralne paralityki, trzymające się prosto bo w sznurówce, rumiane i świeże, bo wyróżowane. Dla tych umysłów jest coś młodszego i świeższego niż gust najbardziéj nowoczesny, coś żywotniejszego niż najbardziéj krzyczączy interes chwilowy:—to prawda i piękność, wiekuiste siostrzyce, wiekuiście młode i płodne. W czyjém sercu dla nich przechowała się miłość, ten jest zdrowym i trzeźwym człowiekiem, ten nie potrzebuje narkotyków buchających z zatrutéj atmosfery cuchnących buduarów, po których następuje większa jeszcze zdrętwiałość i ogłupienie; tego pierś tęskni do świeżego powietrza i słońca, do natury i jéj prostoty, do jéj burzy i gromów równie jak do błękitnego uśmiechu niebios. Niechaj sobie wielkie stolice zapisują z Paryża lub fabrykują u siebie te trucizny i brzydoty moralne; nasze społeczeństwo i nasza scena ich nie potrzebuje. Nasza scena nie jest frymarką wyzyskującą głupotę i zepsucie ludzkie, ani spekulacyą pieniężną; nasza scena jest instytucyą drogą sercu naszemu i poczciwéj ludności służącą, ma w niéj wdzięcznego i powolnego ucznia, ona powinna w nim same tylko dobre rozwijać instynkta.

Stawiając poważne względem sceny naszéj postulaty, nie chcemy bynajmniéj, aby ona postępowała koniecznie i nieinaczéj tylko na greckich koturnach. Dla sceny wszystkie rodzaje i wszystkie formy są dobre, z wyjątkiem nudnych i beztalentowych. Obok wielkich utworów po[-]dających widzowi klucze do najgłębszych tajemnic serca ludzkiego, śmiało mieścić się mog[ą] najdrobniejsze krotochwile których jedyną zale[tę] stanowi wesoły dowcip i zręczna a zabawn[a]

(*) Die Schaubühne als eine moralische Anstalt betrachtet.

sytuacya. Dowcip jest zarówno czynnikiem estetycznym jak groza, a choćby nic innego nie przyniósł nad rozweselenie serca ludzkiego i znękaną lub znużoną myśl do równowagi doprowadził, już tém samém poczciwą oddał przysługę. Dowcip to kropla wina dolana do czary piołunu jaką najczęściéj człowiekowi podaje życie; nie zapieramy więc dowcipu na scenie, choćby ten żadnego nawet innego pożytku dla myśli nie dawał: on jest piosenką, a wszak „piosenka jest dla myśli winem,“—jak powiada chmurny mistrz pruskiego zakonu.

I takiego to dowcipu rodzimego nie brak naszéj scenie: ma on mistrzów swych we Fredrze, Korzeniowskim, Bogusławskim; ma wybornych tłómaczów w naszych artystach. Jest on sympatyczny i czysty, to też tém wstrętniejszemi wydają się nam dowcipy obce, które po odjęciu im cechy dwuznaczników i gorszących sytuacyj, nie zostawiłyby za sobą nic prócz czczości i niesmaku. Prawdą jest niezaprzeczoną, że nasza miejscowa produkcya dramatyczna nie starczy na potrzeby sceny: jest to faktem, którego przyczyny leżą nie w samym tylko braku uzdolnień,—ale niemniéj jest faktem. Fakt ten zmusza nas do przyswajania sobie utworów obcych; lecz w tém nic prostszego jak kierować się wyborem, duchowi i dobru społeczności naszéj najwięcéj odpowiadającym. Otoż leży za nami cała literatura dramatyczna niemiecka, bogata i szlachetna, a zdaje się jakoby nie istniała. Moglibyśmy tu przytoczyć szereg nazwisk autorów godnie piastujących berło Talii, a czy aby jedno z nich figuruje na naszym afiszu? Czy znamy, nie mówiąc już o mistrzach tragicznych, choć jedną sztuczkę Benedixa, tego dzisiejszego Scribe'a? Bynajmniéj. Jeśli chcemy krotochwili, udajemy się regularnie po sukurs do scen bulwarowych paryzkich; jeśli pożądamy patetycznych wzruszeń czerpiemy je przeważnie z repertuaru paryzkiego cudzołóztwa, które tam stało się niemal wyłącznym tematem dzisiejszéj szkoły dramaturgów. Może tam szkoła ta ma swoją racyę bytu; ale co ona, pytam się, za związek mieć może ze społeczeństwem naszém, które, dzięki Bogu, jeszcze tego rodzaju lekcyi nie potrzebuje?....

Jeżeli wreszcie powiadamy, że twórczość nasza miejscowa nie wystarcza dla naszéj sceny, to bynajmniéj przeto nie zapominamy, że i ta sama twórczość nie jest należycie wyczerpaną. Fredry i Korzeniowskiego płącze się zaledwie po kilka sztuk na scenie, które powtarzają się do znudzenia. Gdzież reszta? Nie rozumiemy, w czém ma naprzykład wyższość *O chlebie i o wodzie*, nad *Nikt mnie nie zna*, albo *Dwaj Głusi* nad *Doktorem Medycyny*, od tak dawna pogrzebanym w archiwach teatralnych; a wieleż to jest sztuk tych autorów, które dotąd jeszcze wcale nie ujrzały estradowego światła;—jeżeli dobrze popukamy, to w tém samém lub podobném położeniu znajdziemy wiele innych jeszcze prac oryginalnych i tłómaczonych, dla sceny naszéj pożytecznych, przed któremi pierwszeństwo biorą rzeczy należące do téj właśnie kategoryi, która pierwiastki rozkładowe wprowadza do życia naszego.

Od kilku już lat patrzymy z uznaniem na zachody zarządu teatralnego około wzmocnienia sceny naszéj, wzbogacenia jéj nowemi siłami, dla zyskania których zarząd żadnych starań i kosztów nie szczędzi. Spodziewać się więc możemy, że taż sama staranność zwróci się przecież z czasem i do repertuaru; bo czyż warto tak niezwykle potężne siły artystyczne, jakie posiada scena warszawska, stosować do rzeczy błahych, nie mających przyszłości, które tworzy upodobanie dzisiejsze, a jutrzejszy kaprys obala?. Powiadają, że te fabrykaty nowoczesnéj szkoły francuzkiéj mają za sobą zaletę sceniczności, życie, że mieszczą bogaty materyał dla gry aktora. Ale jakaż, pytamy się, może być gra tam, gdzie w treści niema prawdy i piękna, gdzie życie naturalne i szlachetne zastąpione jest chorobliwém rzucaniem się i spazmatycznym ruchem? Nie, tam nie może być gry, tylko sztuka łamana. Nie, te utwory wyrosłe na nawozie występku i zepsucia, nie mają w sobie siły życiodawczéj, i jak treść tak i grę naginają do jakichś chorobliwych wykrzywień: gdy tymczasem ogromny zasób literatury powszechnéj, nawet w bieżących produkcyach, nie wyłączając francuzkich, może dać wybór rzeczy, któreby nietylko z upodobaniem przez publikę słuchane będą, ale i poziom jéj estetycznego ukształcenia podniosą, i gust z krzywéj drogi sprowadzą, i co nie jest rzeczą najmniejszą, zrównają z sobą godność talentów takiego grona artystów, jakiém nasza scena słusznie pochlubić się może. Zarząd teatralny obarczony jest narzucanemi mu rzeczami łatwego wyrobu, robotami krótkiego zachodu (bo i cóż to jest przetłómaczyć prozą z francuzkiego jaką jedno lub kilkoaktówkę?) ale, gdyby to z jego wolą i zapatrywaniem zgadzało się, niechajby się odwołał do ludzi obeznanych z biegiem obcych literatur, utalentowanych, niego niągiem obcych literatur, utalentowanych, niego niących tylko za zarobkiem, ale dbałych zarówno i o korzyść publiczną, a wkrótce postać repertuaru zmieniłaby się w kierunku pożądanym.

Jako organ prassy publicznéj, stawiamy sobie scenę za jeden z przedmiotów najgorętszego naszego zajęcia. Sztuka z literaturą tak są spokrewnione, tak zbliżone do siebie naturą powołania i pożytku społecznego, że z konieczności muszą się spotkać na jednéj drodze, nie dla tego ażeby na siebie uderzać, ale żeby nieść sobie pomoc wzajemną. Téj pomocy spodziewać się od nas ma prawo sztuka dramatyczna we wszystkich swych objawach; ale nie na innéj drodze udzielić jéj będziemy mogli, tylko na téj, którąśmy tu pobieżnie nakreślić zdołali.

STANOWISKO
FRANCISZKA KARPIŃSKIEGO
W LITERATURZE.

(Ciąg dalszy. Ob. Nr. 2.)

Jeżeli pieśni nabożne Karpińskiego poprzedziły szereg wzniosłych pieni religijnych Woronicza, Brodzińskiego, Mickiewicza, Zaleskiego, sielanki jego podobnież wyprzedzają rozmnożone późniéj ballady i pieśni miłosne wyrastające na gruncie narodowym. Z pieśnią tego rodzaju przed Karpińskim nie było tak źle jak z religijną: po Sobotkach Kochanowskiego, po jego cudnéj: „Trudna rada w téj mierze, przyjdzie się rozjechać” i t. p., najbliższa serca ludzkiego nóta miłości i uwielbienia przyrody, odzywała się rodzinnym dźwiękiem w Szymonowiczu, Sępie, Gawińskim, Zimorowiczach. Atoli im bardziéj się zbliżano ku czasom Karpińskiego, tembardziéj dźwięk narodowy w tych pieśniach zamierał, aż w końcu się całkowicie wynaturzyły. To co w dziełach Naruszewicza nosi tytuł sielanek, z wyjątkiem wspominanego już przez nas „Pacierza staruszka,” zowie się tak jedynie przez wierutne nadużycie wyrazu. Są to wprost lub pod przenośnią układane hymny pochwalne dla możnych przyjaciół i protektorów zasłużonego zkądinąd autora „Dziejów narodu polskiego” i niezrównanego tłómacza Tacyta. Nierównie słabsze od Naruszewiczowskich sielanki Minasowicza utonęły całkowicie w zmysleniach mitologicznych; próżno w nich szukać śladu swojskości. Trembecki, który toczonym z kości słoniowéj wierszem opiewał Polankę, Powązki i Zofiówkę, był takim sielankarzem, jak wytuczone przepychem chatki książęce na Powązkach były chałupami wiejskiemi, albo jak Zofiówka była dziełem przyrody. Najwyżéj niezaprzeczenie i pod względem właściwéj miękkości formy, i pod względem rozmaitości przedmiotów, i pod względem czystości myśli, stanął w tego rodzaju utworach Kniaźnin, jakkolwiek wiadomo, że w większéj części utworów opiewał księżniczki poprzebierane za pasterki. Swawolny, chociaż nietyle grzeszny co inni w swoich „Erotykach,” oczyszczony przez miłość nieszczęśliwą, mówił o sobie samym, zatęskniony do gwiazdy na niebie możnowładztwa, przez usta swoich nieśmiałych pasterzy. On też jeden w sielankach pod względem formy nawet przewyższył Karpińskiego, a w późniejszych utworach stanął z nim na równi w nieskazitelności uczucia. Inni wypiastowani na Anakreoncie i Owidyuszu, podobno nawet nie rozumieli uduchownienia miłości przez chrześciaństwo; tłómaczyli też klassyków lub naśladowali „Fraszki” Kochanowskiego i „Jovialitates” Potockiego. Ale w tych starych pisarzach wrzał nadmiar życia, któremu się niekiedy przebacza, tutaj zaś lubowała się w szkaradzie ślamazarność, dla któréj nie ma przebaczenia.

To zbydlęcenie literatury w zakresie najtkliwszych stosunków ludzkich, usprawiedliwiane przez filozofów, który wszystko usprawiedliwiać umieli nie wyjmując grabieży politycznych i królobójstwa, nie mogło nie wywołać oddziaływania w umysłach zdrowych i cnotliwych. Jakoż powtórzyło się tutaj co nieraz widzimy w naukach przyrodzonych: że na pewnym stopniu rozwoju wiadomości jedno i to samo odkrycie robią jednocześnie ludzie rozdzieleni wielkiemi przestworami i nie mający z sobą związków. Gessner w Szwajcaryi, Delille we Francyi, Karpiński a następnie za jego przykładem i Kniaźnin w Polsce wystąpili z pieśnią o uduchownieniu miłości na łonie wiekuiście pięknego przyrodzenia. Serdeczne dzieje naszego poety prowadzą nas i w tym względzie po objaśnienie pod jego strzechę rodzinną na Pokuciu. Wszystkie romansowe przygody Karpińskiego wystawiają nam walkę surowego obowiązku ze skłonnościami serca,—walkę, w któréj na głos ojca poety z nad grobu: „Niech Franciszek prawdą idzie na świecie,” zawsze zwyciężał obowiązek. Będąc jeszcze na naukach, zakochał się w Maryannie Broselównie, sierocie bez matki i ojca, mianéj za najpiękniejszą i najcnotliwszą pannę na Pokuciu. „Obyczajność i skromność jeszcze mi od ojca mojego wpajane, powiada wspominając o niéj poeta, jakże daleko mocniéj ta niewinna panna we mnie ugruntowała!” Ona to była jego pierwszą Justyną, do któréj napisał *Tęskność na wiosnę*, prześliczne westchnienie serca, gdzie jednakże nie miał odwagi powiedzieć ani jednego słowa o miłości. Skończyło się na tém, że kiedy jéj „zyskowne trafiło się zamęźcie, a ja ubogi wziąwszy tę szacowną pannę, chybabym z nią na służbę poszedł, ze łzami oświadczyłem jéj, ażeby za mego rywala poszła,” chociaż była gotowa dla niego i grzędę kopać, i prząść się nauczyć. Podobnyż koniec wzięła inna cnotliwa dziesięcioletnia miłość do drugiéj Justyny, wojewodzicowéj poznańskiéj Ponińskiéj, którą po owdowieniu, „więcéj już sobie obiecując, może jeszcze surowszą znalazł.” Tak samo wreszcie skończył się romans z wysoce posażną panną Franciszką Koziebrodzką, która sa-

ma nie chcąc wyjść za narzucanego sobie narzeczonego, dała poznać ubogiemu dzierżawcy swego ojca Karpińskiemu, ażeby ją wykradł. „Ale kiedy on mnie kochał jak syna, kiedy mi wioskę po przyjacielsku wypuścił, kiedy mi z córką bawić się z zaufaniem dniami i nocami nie bronił, jakże mógłbym go w zaufaniu jego zawodzić?” I tak oto się stało, że najtkliwszy wielbiciel niewiasty w życiu i w pieśni, bezżeńcem zstąpił do grobu.

Nie potrzebujemy mówić, że wyższe sfery społeczeństwa XVIII stulecia, w sprawach serdecznych całkiem inne wyznawały zasady: skłonność szła nietylko przed obowiązkiem, ale i przed najprostszemi wymaganiami rozsądku. To byłaby rzecz dziwniejsza, gdyby w naszym wieku brzemiennym nieokreślonemi pragnieniami coś jeszcze dziwić mogło, że i dziś nawet, kiedy w rzeczywistości ochłonięto po „zapustnéj swawoli“ zakończonéj „wielkim postem“, przeważna część literatury powieściowéj i dramatycznéj rozwija te same temata praw namiętności przed prawami obowiązku, zapewne uciążliwego, ale nieuchronnego dla bytu społeczeństwa. Gdyby człowiek był po prostu tylko zwierzęciem, jak usiłują w nas wmówić gorliwi apostołowie nowéj wiary, naówczas niezaprzeczenie „wybór naturalny“ w kojarzeniu się związków byćby musiał jedynym przewodnikiem. Ale człowiek jest zarazem istotą moralną i społeczną, i dla pielęgnowania tych jego przymiotów, dla dodania bodźca pracy i skrzętności, dla przechowania odziedziczonych zdobyczy cywilizacyi i przyczyniania się do niéj przez postęp, nieuchronnie jest potrzebna trwałość rodziny. Owoż „wybór naturalny“, sama jedynie namiętność, grunt ruchliwy i zmienny jak piasek morski, takiéj trwałości związków rodzinnych zabezpieczyć nie może. Potrzeba tę namiętność w stosunkach ludzkich łączyć z innemi warunkami, płynącemi z duchowéj i społecznéj natury człowieka; „wybór naturalny“ jednoczyć z „wyborem moralnym“. Nigdy zapewne te myśli tak rozpaczliwie nie kołatały do głowy ludzi myślących i czujących nad nieszczęściami społeczeństwa, jak za czasów Karpińskiego, kiedy targanie związków rodzinnych stało się było rzeczą powszednią i powszechną w stanach przodkujących narodowi, kiedy u szczytu latarni morskiéj mającéj wskazywać drogę skołatanemu okrętowi, publicznie dokazywało wszeteczeństwo, tak dalece, że nasz poeta po imieniu wylicza kilku najwyższych dostojników kościoła będących pięknemi wyjątkami od ogólnego prawidła. W taki to sposób, przez instynkt zachowawczy, miłość uduchowniona w chrześciaństwie, żyjąca w obyczajach massy narodu, weszła z pod pióra Karpińskiego do piśmiennictwa na miejsce miłości pogańskiéj, któréj poprzednicy jego przez naśladownictwo literatury starożytnéj, a współcześni z popędu hołdowali.



KAROL BEYER I WŁADYSŁAW DUTKIEWICZ.

W toku idei rozwijanych przez piszących, Karpiński pod względem uduchownienia miłości w poezyi stanowi epokę. Znaleźli się po nim bystrzejsi postrzegacze, ognistsi władcy słowa, bieglejsi mistrze złotego instrumentu serca; ale to nie przeszkadza uznaniu, że Karpiński pierwszy powiedział do współczesnych i następnych ofiarników uczucia: „Nam tu niewinną żyjącym prostotą, wierność miłością, a *miłość jest cnotą.*“ Zarzucano i słusznie poniekąd Karpińskiemu, że w swoich utworach miłosnych niekiedy przesadza tkliwością jak np. w wierszu *Do przyjaciół po rozstaniu z Rozyną*; nie należy jednakże zapominać, że w tych utworach razi nas przedewszystkiém rozdźwięk między prostotą słowa a uczuciem poety. Nazwyczajono nas do słuchania i wypowiadania uczuć w wyrazach przesadnych, w wykrzykach teatralnych, w szamotaniu się mającém dowodzić siły; tymczasem wielkie uczucia, jak wielkie ciała niebieskie, lecą i działają bez hałasu, i to powinniśmy mieć na względzie w Karpińskim. Sama już rozmaitość uczuć w jego utworach i łatwość w ich wypowiadaniu powinna nas o tém ostrzegać. Skargi do Justyny, która jest jego „zdrowiem“, zapewne najwięcéj zajmują miejsca w pieniach miłosnych Karpińskiego; ale obok tych skarg jakaż to trafność określenia dróg miłości w wierszu *Trzeba się kochać!* jaka zręczność nieustępująca Bérangerowi w oświadczeniu *Do Temiry!* jakie prześliczne zwroty np. w zakończeniu wiersza *Do Justyny*: „Drzewa, wyście małe były!“ jakie nieoszacowane szczegóły w *Przypomnieniu dawnéj miłości*, która „żyła niespaniem“! Podziwiamy w Heinem wspólne czucie natury z człowiekiem; przeczytajmy w Karpińskim *Korydona*, gdzie „łąka zielona odmłodniała“ na widok drogiéj sercu istoty. *Mazurek:* „Dobranoc Jacenta“, był pierwszą piosenką w tonie szczerze ludowym, a śmiało stanąć może obok najwdzięczniejszych utworów Lenartowicza. *Dzieci u matki* Karpińskiego, to prototyp *Powrotu taty* Mickiewicza. Powtarzamy, iż naród, który wśród rozprzężenia obyczajów te pieśni uznał za swoje, dobre złożył świadectwo o swoich zdrowych instynktach moralnych i przenikliwém poczuciu estetyczném. *(D. n.)*

KORESPONDENCYA.

Paryż 26 Grudnia 1871 r.

Nic dziś trudniejszego, jak skreślić sumienny obraz tutejszego społeczeństwa; sumienność bowiem w téj rzeczy nie zależy na wiernén tylko podaniu faktów, ale na wniknięciu do głębi ducha narodu i śledzenia w nim choćby najsłabszych symptomatów, świadczących jeśli nie o samém już przeradzaniu się, to przynajmniéj o tęsknocie do prawdziwego ideału i o boleści, które są skrzydłami ducha do przejścia z ciemności do światła. Sumienne to badanie uważam za tém potrzebniejsze obecnie, że wielka jest liczba cudzoziemców... którzy pogardzając tém co czcili przed chwilą, odgrywają dziś względem Francyi rolę owego osła z bajki, co urąga choremu lwu i na dobitkę częstuje go kopytami. Dla tych bałwochwalców siły, Francya jest już zupełnie zgnojona—duch jéj upadły nigdy się nie podniesie—posłannictwo jéj skończone. Otoż, im więcéj te niewdzięczne gąsienice ślinią drzewo, którego liśćmi żyły; im więcéj urągają temu upadłemu i nieszczęśliwemu narodowi, tém większą czuje potrzebę każdy prawy cudzoziemiec, co grzał się niegdyś przy tutejszém ognisku, dotykać ran Francyi z poszanowaniem i miłością, i schodzić do tajników ducha narodowego, nie jako złodziéj do komory, aby wykraść ztamtąd co się uda i po judaszowsku sprzedać za pieniądze, ale aby sumiennie dopytywać się przyczyn zewnętrznych objawów, dla wyciągnięcia z nich pożytecznéj nauki i lekarstwa, tak na własne jak i na ludzkości rany. W tym to duchu pisane będą moje sprawozdania. Dla faryzeuszów tylko i skrybów, co otruli ducha tego narodu i truć go dotąd nie przestają, tak że nawet straszna plaga krwawych zdarzeń nie zdołała dotąd sprostować i obudzić jego sumienia; dla nich, pióro moje będzie miało zawsze odrębne i nieubłagane odgłosy.

Winienem uprzedzić szanownych czytelników, z którymi zabieram dziś znajomość, że daleki jestem od myśli pisania korespondencyi w duchu ponurym. W piśmie, tak samo jak w obrazie; cień i światło muszą iść zawsze w parze—ale dla uwydatnienia głównych cech, tak literatury jak równie sztuk pięknych, i wszystkich w ogólności przedmiotów wchodzących w zakres mego zadania, muszę trzymać się pewnéj metody, która nie wykluczając rzeczy wesołych i humorystycznych, każe mi jednak unikać starannie zbyt jaskrawych wyskoków i tych lekko ogazowanych sprosności, które erotyczna gimnastyka francuzkiéj literatury tak upowszechniła i wprowadziła w modę.

To wstępne słowo uważam za konieczne. Pisarz mający jedynie na celu dobro społeczeństwa, któremu powołany jest służyć piórem, a chcący pogodzić ten obowiązek z wolnością sumienia,

musi więcéj dbać o rzecz niż o formę i winien od razu wypowiedzieć jasno i szczerze co czuje i myśli i w jakim duchu pisać zamierza. *C'est à prendre ou à laisser*, jak mówią Francuzi.

Teraz słów kilka o Paryżu. Niezrównana ruchliwość francuzka, pozacierała już ślady wojny ulicznéj, i oprócz zniszczonych gmachów, których odbudowanie wymaga długiego czasu, i nie wielkiéj liczby prywatnych domów, których właścicielom brakuje funduszów do naprawienia szkody,—architektoniczne rany stolicy zgojone zupełnie.— Kto widział to zniszczenie, nie może dziś bez zdziwienia patrzeć na owoce téj potężnéj działalności materyalnej Paryżan, która w ciągu kilku miesięcy zdołała poodnawiać nie tylko pojedyncze

Nie tak się tu rzecz ma z ruiną moralną. Rany te są zbyt głębokie, aby się prędko zagoić mogły, tém więcéj, że choroba, która je sprowadziła, przeszła już w stan chroniczny—a lekarzy moralnych ani słychać, ani widać. Dotąd Francya cierpi boleścią straconych aniołów: jest to czyscowa męka miłości własnéj i pychy, w czyscowéj nocy sumienia. Przesilenie jednak nastąpić musi, bo obok zepsucia są tu wielkie zasoby moralne, Francuzi posiadają obok wielu zalet jeden przymiot niezwykły, którego nie ma żaden inny naród, przymiotem tym jest *la spontanéité*. Sama jego nazwa, która nie da się przełożyć na żaden inny język, dowodzi, że przymiot ten jest rodowy. W dobrém czy w złém między myślą a czy-

słowem cały ten obraz przerażających śladów wojny domowéj, wyszkicowany krwią i płomieniem, był nielada przynętą dla panów turystów i kosmopolitów. Trawiąca gorączka czczości, która pędzi ich ciągle przez morza i lądy dla szukania nowych wzruszeń, miała się czém tą razą nasycić. Anglicy zajmowali pierwsze miejsce w téj falandze, liczbą i oryginalnością. Na każdéj kupie gruzów, na każdym świeżo usypanym grobie można było w owym czasie spotkać zawsze grupę Anglików. Narodowość ich wypisana na twarzy służyła im za pasport. Zdania ich są tak ekscentryczne jak ich postaci. Nie będzie od rzeczy, kiedy przytoczę tu rozmowę, mianą z Anglikami przy jamie, która służyła za grób tymczasowy roz-



ODSTAWA ZBOŻA W ZIMIE.

domy ale nawet ulice całe. Po upadku kommuny oglądając liczne miejsca walki, uderzony byłem strasznym obrazem spustoszenia, jaki przedstawiała, *Avenue* des thernes, przeciągająca się od wałów paryzkich przez *Neuilly* aż do Sekwany. Naliczyłem w murze jednego domu 96 dziur od bomb różnego kalibru, i to tylko od strony Paryża. W końcu zeszłego miesiąca, przejeżdżając tamtędy, szukałem wzrokiem tych chorych domów, ale napróżno; białe tylko łaty na ich bokach i od frontu świadczyły, że ręka murowych lekarzy przeszła tamtędy, a pozawieszane u okien firanki oznajmiały przechodniom, że domy te, od góry do dołu, były już zamieszkałe.

nem nie ma u Francuza rozdziału. Jedno więcpo-ruszenie ducha, może postawić snmienie tego narodu na właściwym szczeblu — a jedna myśl wysoka, zamieniona jednocześnie w czyn, może go przeobrazić w jednéj chwili danéj. Wielki lekarz nie zostawi tego chorego na pastwę czerwiom, ma on swoje specyficzne lekarstwa na wszystkie choroby, których używa w chwili danéj. Operacya wycięcia gangreny będzie może bardzo bolesna, ale przekonany jestem, że chory wróci do zdrowia i odzyszcze siły.

Po upadku kommuny napływ cudzoziemców do Paryża był nadzwyczajny. Ruiny gmachów, domy w gruzach, rozpryśnięte po ścianach mózgi,

strzelanym federalistom. Pierwsze słowo Anglika było to zapytanie czy jestem Francuzem?

— Nie, panie, odrzekłem.

— Tém lepiéj, powiedz mi pan, ile może być trupów w téj dziurze?

— Zakopano tu 40-tu rozstrzelanych federalistów.

— Rozstrzelanych! doprawdy? musiała to być scena ciekawa i warta widzenia.

— Powiedz mi pan, z łaski swojéj, dodała (mięszając się do rozmowy) ruda, z krokodylemi zębami żona Anglika: co się stało z ich bielizną? Chciałabym dostać co na pamiątkę. Za najmniej-

szą szmatę z ich odzienia dałabym z chęcią parę funtów sterlingów.

— Sukmany tych biedaków, odrzekłem, gniją razem z nimi w téj jamie.

Tu zaszła niespodziana komplikacya powiększająca liczbę aktorów téj sceny. W ciągu rozmowy mojéj z Anglikiem prowadzonéj w języku francuzkim, stojący tuż obok mnie, gruby wąsaty jegomość, którego widocznie oburzała ta flegma angielska, nie mogąc dłużéj wytrzymać, jął chrząkać, spluwać, okazując mi giestami swoje nieukontentowanie. Odpowiedziałem mu także giestem że rozumiem, a Anglik jak cietrzew co nie widzi, nie słyszy ani strzelca ani strzału tak daléj rzecz przeciągał:

— Bardzo to ciekawy naród, ten naród francuzki: ma wiele przymiotów, ale jest zawsze w gorączce — My anglicy jesteśmy zimni i praktyczni. Zacytuję na poparcie tego, jeden fakt bardzo zajmujący. Kiedy wybuchła tu rewolucya w 1848 roku byłem w Londynie. Jeden z przyjaciół moich, znakomity lekarz powiada mi: „jedźmy do Paryża." „Po co?" „Jak ci wiadomo, rzecze mi on, nie było tam żadnego przygotowania do walki; stała się rzecz w sposób nie wytłómaczony, chwycił każdy za broń jaką znalazł pod ręką: ten za pikę, ów za rożen, inny za szczypce od kominka, inny znowu za drąg żelazny, samo więc uzbrojenie walczących zasługuje już na szczególną uwagę; ale rzeczy jeszcze ciekawsze do oglądania, są to rany porobione témi narzędziami, rany straszne, niezwykłe, jakich nigdy i nigdzie nie obaczymy, jeśli nie skorzystamy z téj „jedynéj sposobności." „Dobrze mówisz, odpowiedziałem; jedźmy, i natychmiast wsiedliśmy na parostatek i daléj do Paryża."

Tu znowu wąsaty jegomość chrząknął parę razy, ale silniéj niż przedtém, splunął i rzekł do mnie po polsku.

— A co pan na to? Cywilizacya nie lada! Niech ich piorun trzaśnie! Anglik mógł tylko cóś podobnego wymyśleć.

Straszna ciekawość angielskiego lekarza, — jest dziś powszechniem zjawiskiem,—tylko przedmiotem jéj są okaleczenia i niemoce duchowe. Tym przypatrują się wszyscy, — lekarzy jest moc niezmierna, tylko lekarstwa nie doczekała się jeszcze ta nieszczęśliwa Francya, do któréj zwrócić można te wyrazy zastosowane kiedyś do jéj władców: że wszystkiego zapomniała i nic się nie nauczyła.

Każda zaleta może się stać wadą, gdy siła w niéj saméj złożona obierze sobie kierunek niewłaściwy. Tak samo się dzieje z ową bezpośredniością czynu, która między myślą a wykonaniem nie pozostawia czasu, choćby na najpowierzchowniejszą krytykę. To gorączkowe pragnienie *aby się zawsze cóś działo*, nadaje charakterowi francuzkiemu ową wybitną barwę teatralności, która przewodniczyła od stu lat blizko wszystkim nastraszniejszym przewrotom we Francyi. Zamiłowanie sceny, przechodzące w istnie patologiczne objawy, nie inny ma początek.... wszakże Paryż, któremu Zgromadzenie Narodowe odmawia godności stolicy — nie odmawia sobie wybudowania dwóch nowych teatrów!

A scena!.... scena paryzka jałowa; bez natchnienia, bez błysku ducha, po swojemu pracuje nad „odrodzeniem Francyi." Grano tu w zeszłym miesiącu dwie nowe sztuki w Gymnase *Une Visite de Noce*, komedya w jednym akcie Aleksandra Dumasa, *l'Abandonnée*, dramat w dwóch aktach, wierszem, pana Coppée. Pierwsza jest to erotyczna mikstura, złożona z roztworu cudzołóztwa i cynizmu, a dla ułatwienia połknięcia zaprawiona dowcipem i tą nerwową sofistyką, która niestety najwięcéj kobietom zawraca głowy. Poszanowanie dla polskiéj publiczności, nie pozwala mi wdawać się w rozbiór tego utworu. *L'Abandonnée*, jest to dramat obyczajowy. Wiersz prawdzie w wielu miejscach słaby, ale dążność uczciwa. Treść tego dramatu następująca: Student szkoły medycznéj, ubogi i pracowity, spotyka dziewczynę skromną i niewinną, żyjącą uczciwie z pracy, oświadcza jéj miłość swoję, pozyskuje jéj wzajemność, a późniéj, jak to zwykle bywa, opuszcza nieszczęśliwą. W kilka lat później, ów ubogi student zostaje sławnym Eskulapem i naczelnym lakarzem jednego z pierwszych szpitali paryzkich. Dobroczynny, zacny, kochana powszechnie, ma tylko jedną ujemną stronę — jest sceptykiem. Biedna dziewczyna opuszczona przez niego, przeszedłszy wszystkie koleje boleści, rozpaczy, z używszy rozpustą zdrowie, chory na suchoty dostaje się do tego szpitala. Spotkanie dawnych kochanków jest dramatyczne, rzewne, pełne uczuć nacechowanych naturalnością, i szczęśliwych zwrotów ducha. Wiedza lekarska kierowana miłością, sili się wyrwać śmierci ofiarę, ale na próżno—dziewczyna umiera. W ostatniéj chwili, w obec trupa téj którą kochał, sceptyk złamany boleścią zwraca się niby ku Bogu, ale ten niepełny poryw ducha sformułowany w znaku zapytania do obecnego tam kapelana, nic nie rozwiązuje; każe się tylko domyślać, że w przyszłości, ból serca dzieło nawrócenia dopełni. Interwencya kapelana psuje cokolwiek effekt zakończenia—ale całość dramatu dobre i zdrowe zostawia wrażenie.

W Odeonie nowy dramat pana Foussier i Edmunda Chojeckiego, w 4-ch aktach, prozą, ma wielkie powodzenie. Utwór ten nie zaleca się żadnym genialnym błyskiem, ale opiera się na idei prawdziwéj, która ma za cel wykazanie, że bez surowéj kontroli, domy obłąkanych stać się mogą miejscem rozmyślnych i bezkarnych zbrodni — Publiczność zrozumiała tém więcéj doniosłość téj myśli, że była ona przypomnieniem faktów, które przed dwoma laty bardzo ją zaniepokoiły.

Dramat jest zwięzły, intryga dobrze prowadzona, charaktery wybitne; szczególnie tytułowy Baronowéj, która jest typem przewrotności, zepsucia i okrucieństwa. Siła piekielnych i wyrafinowanych kombinacyi złowiszy milionowego męża, zamyka go za pomocą swego kochanka lekarza, w domu obłąkanych. Ale nie idzie jéj to na pożytek, bo tenże sam kochanek, pod naciskiem sumienia, rehabilituje się, i ułatwia mężowi ucieczkę. Ten, wpada znienacka do domu dusi żonę złotym naszyjnikiem w formie węża, który był jéj dany w upominku przez kochanka — publiczność, która lubi tego rodzaju exekucye, sypie oklaski — i zadowolnienie jest ogólne.

Pierwszy bal wielkiéj opery odbył się jak zwykle. O w pół do drugiéj sala była przepełniona rozmaitego rodzaju postaciami. Trzewiki kokotek na wysokości nosów; szyszaki z piórami, rogi, ogony, wszystko to zmięszane razem, przedstawiało najdzikszy obraz. Ubiory w ogólności były dość liche. Dwóch tylko jegomości odznaczało się oryginalnością postaci. Jeden ubrany cały w pióra przechadzał się poważnie nakształt pawia—a drugi, mały człowieczek, przebrany za orangutana w szalonych skokach roztrącał różowe i białe grupy.

Wypadek dość oryginalny zdarzył się przy końcu balu. Jakiś olbrzymiéj postaci jegomość przebrany za niedźwiedzia, spotkawszy na wschodach swoją żonę przebraną za trubadura, pochwycił ją gwałtownie i zrzucił ze wschodów trubadur upadł na głowę stojącego u dołu municypała, który o mało że nie przepłacił życiem téj matrymonialnéj zabawki.

Nie myślę tu zastanawiać się nad tém, czy jenerał Ladmirault dobrze lub źle zrobił udzieliwszy pozwolenie na owe szaleństwa karnawałowe, wówczas gdy część Francyi nie jest wolną od okupacyi. Mogę tylko zapewnić, że smutny jest widok tego skaczącego Paryża, który nie zdaje się rozumieć jaką ma opinię o obywatelach Francyi p. Thiers motywując opozycyę swoją przeciwko podatkowi dochodowemu, brakiem moralności a raczéj najprostszéj uczciwości w kontrybuentach. *T. R.*

HEROD-BABA

OPOWIADANIE DZIADKA

spisane przez

J. I. KRASZEWSKIEGO.

(Ciąg dalszy. Ob. 2).

— Wiecie, łamiąc ręce zawołała odedrzwi zaraz—wiecie co mnie spotyka?.

Ten, łotra kawał, Zygmuś, którego mi jakaś francuzica z teatrum królewskiego zbałamuciła, urwał się wisusisko i poleciał za nią do Drezna...

Matka i ojciec ręce załamali.

— O! miłyż ty Boże, Elżuńka droga, co tu z nim poczynać! Uspokój się...

A widząc wielkie rozgorączkowanie córki matka niespokojna szepnęła drugiéj córce — Larendogry! Larendogry!

— A! co mi tam Larendogra! ofuknęła Elżuńka sztukając nóżką w bucik z podkówkami obutą — ja tego łotra nauczę jak się ma z żoną poczciwą obchodzić! Ja mu nie dam tak spokojnie bujać po świecie samopas... Zobaczymy!

— A cóż? pozwiesz go przed sąd? zawołał ojciec, albo przed konsystorz?

— Co? ja? żeby ludzkie śmiechy wywołać? albo to ja sobie sama rady nie dam? wołała Elżusia — albom to ja dziecko żebym na skargę chodziła?

— Cóż mu zrobisz?

— Co? dokończyła Zygmuntowa z gniewem—ot przybyłam kochanych rodziców pożegnać, prosić ich o błogosławieństwo, a jutro po jutrze stryja Eligiego biorę w rekwizycyę, pistolety za pas i ruszamy po łotra do Drezna, a choćby i na koniec świata. Znajdę go gdzieś przecie — zechce się opamiętać i na klęczkach przeprosić to go z sobą przywiozę, nie — to jak psu w łeb wypalę — niech się nie poczesne plemie na świecie nie mnoży!

Pani Okóniowa krzyknęła wielkim głosem — A słowo stało się ciałem! Okoń oniemiał... Elżusia podniósłszy głowę, z oczyma zapalonemi gdyby dwie pochodnie, straszną się im aż wydała, tak była rozjątrzoną.

— Na miłość Bożą, płacząc i ściskając ją rzekła matka, opamiętaj się — umityguj — co ci jest, dziecko moje!! To nie kobieca rzecz... ani niewieścia broń...

— Moja matuś kochana, przerwała Zygmuntowa... ja to wiem dobrze iż nam się nie przystało buntować lada za co, lecz gdy takie zgorszenie w domu... trzeba mieć wolę i postanowienie, a nauczyć rozumu!! Com ja winna że mi się taki waryat dostał? Na niego innego niema środka ino go krótko wziąć i trzymać krótko... Pięknaż to rzecz! na co on mnie wystawił; za lada łotrzycą taką jak jest sam odbiegając odemnie!? a co ludzie pomyślą jakam ja jedna? chyba żem i téj francuzicy nie warta. Otóż ja im pokażę... iż Piętkowa lepsza od Piętki.

Wszystko co tam było podrętwiało słuchając Elżuni, nikt się przeciwić nie śmiał, boć obrażona była słusznie... Wyglądała jak prawdziwa bogini pogańska; postać, oko, twarz, uśmiech, rączka, nóżka, a owa Duparc, jak ci co ją widzieli opowiadali, prawdziwym byłaby przy niéj koczkodonem... tylko się to różowało, bieliło, smarowało, sznurowało, a że od dziecka linoski wyłamali ją do wszelakich łamanych sztuk i gębę miała wyparzoną, więc to tak mogło zepsutemu człeku się podobać jak pijanicy po najlepszym tokaju gorzałka.

Dali się Elżuni wygadać i nażalić jako sama chciała — ojciec zawsze sądził że gdy pierwszy ogień spłonie, potém przyjdą łzy, rozmysły, kobieca obawa, niepewność, i skończy się na tém, że Elżunia przy rodzicach posiedzi, a stryjowi Eligiemu dadzą na drogę pieniędzy i po niewiernego wyprawią.

Przez cały ten wieczór wszakże Elżusia ino o drodze mówiła, a gdy jéj pierwszy gniew przeszedł, o wyborze w podróż, o zaprzęgu, o tém jak wiele pieniędzy i ile sług potrzebowała.

Matka szeptała: ojcu — Niechaj sobie gada — to się wygada i wszystko minie.

Poszli spać, nazajutrz rano przy piwie grzaném i kawie wszczęła się rozmowa, myślano, że się zmieni. Gdzie zaś — ta swoje jęła prawić o prędkiéj podróży, postanowionéj niezmiennie— szło jéj już tylko o radę ojcowską jak lepiéj było: — jechać skromnie i oszczędnie, czyli się po pańsku ekwipować? bo mogło przyjść do tego, że i na dworze przechować się będzie potrzeba... i najwyżéj sięgnąć, choćby do Króla Jego Mości...

Już tedy zobaczyli rodzice oboje, że nie przelewki, jęli odradzać, ani słuchać nie myślała... a co gorsza, tak ich swoją wymową pociągnęła, że matka się rozpłakała, a ojciec przeszedł na jéj stronę — nim do stołu podali.

Pieniądze miała w swych rękach Elżusia, ojciec też tysiąc talarów bitych *in vim* melioracyj wyliczył na wszelki wypadek, przyszło do narady ostatecznéj jak się wybierać. Zdania były podzielone, Elżusia chciała brykę prostą dla siebie wziąć i stryja, woźnicę, jednego pacholika i od wypadku konnego też, aby czasem w ciężkich przeprawach przodem drogę mógł wypatrzyć; ojciec radził kolebkę i konnych czterech i pacholików dwu... i pannę respektową... Jéj to wszystko ciężyło, byłaby zaprawdę samotrzeć konno ruszyła, gdyby jéj dopuszczono, a podróż nie widziała się za długą.

Drogi były podówczas dosyć bezpieczne, wszak ci bez pewnego orszaku i dla przyzwoitości i dla obrony nikt się nie wybierał, tém bardziéj kobieta. — Uparł się stary Okoń, aby kolebkę wzięła i ludzi więcéj z sobą. Stryj Eligi, którego nie pytano czy jechać sobie życzy, zaliczony był jako towarzysz niezbędny i mentor w podróży konieczny.

Trzeba zaś wiedzieć, że jak koło domu był pan Eligi nieoszacowanym, tak trochę daléj w świat, trudno mu sobie radę było dać,—mało go bowiem znał. Flegmatyk był, namyślający się długo, niepewien zawsze jak lepiéj, frasobliwy nad miarę...

Cały ten dzień jeszcze zabawiła Elżunia u rodziców, a nazajutrz rano konie nakazała aby gotowe były, i stryjowi też zapowiedziała, by zapaśny żupan i kontusz z sobą wziął, bo w domu nie długo popasając ruszyć mieli w drogę. Zawojowała ich tam wszystkich swoją odwagą i animuszem, iż się nikt ani śmiał już przeciwić.

(*d. c. n.*)

PRZEGLĄD LITERACKI.

KILKA MYŚLI

O wychowaniu i wykształceniu niewiast naszych,

przez A. D. Lwów 1871.

(*Dokończenie*).

Jakże dowodzić że ten lub ów człowiek o własnéj mocy poruszać się niezdoła, jeśli widoczną przyczyną jego bezwładności, jest to najprzód: że ma ręce i nogi skrępowane? Zdejmcie powijaki a wtedy dopiero zobaczymy. Może niepotrafi mierzyć się z szybkobiegaczami, ale przynajmniéj podąży ku upatrzonym przez siebie celom, niepotrzebując zgoła żebyście go na barkach swoich dźwigali. Jeśli wypróbowawszy siły, zatrzyma się dobrowolnie u pewnego kresu, będzie to meta *naturalna*; jeśli pójdzie daléj niż spodziewaliście się, znać że iść może, i nikt przeszkadzać, nikt mu usuwać z przed oczu światła niepowinien. Samodzielnie przedsięwzięta wędrówka niezagraża niebezpieczeństwem pielgrzymowi, skoro ten zawczasu przyzwyczaił się badać grunt po którym stąpa, korzystać z drogoskazów, rachować się z podróżnemi zasobami, a nadewszystko jak najmniéj liczyć na cudzą pomoc. Takim pielgrzymem jest cała ludzkość, do takich też przeznaczeń sposobić się zarówno muszą mężczyźni i kobiety.

A dotąd właśnie działo się inaczéj.

Zwolennicy tradycyjnego wychowania kobiety, i ci którzy podnoszą głos w sprawie jéj wyzwolenia, uznają wprawdzie ważność obowiązków najpierwszéj opiekunki i mistrzyni odradzającego się w młodocianych latoroślach człowieczeństwa, — ale głos ząc na pozór zgodne zasady, każde stronnictwo, co innego ma na uwadze. Niech kobieta będzie dobrą matką i obywatelką, twierdzą jedni i drudzy: to jéj powinność, wtorzą słuchacze; to niepospolita umiejętność do nabycia któréj dzisiejsze wychowanie niewiast niedoprowadza należycie — robi uwagę autorka *kilku myśli*. I zdaniem naszém ma ona zupełną słuszność. Jakto?... Więzić kobietę w sztuczném niedołęstwie i ciemnocie, a jednak wymagać od niéj „żeby tajemnemi wpływy kierowała umysłem, sercem, zdaniem i wolą mężów, braci, synów... żeby nadawała cechę duchowości, prawości, wzniosłości rodzinom i społeczeństwu; trzymać ją zdala od nauki, od spraw publicznych; zasłaniać przed nią umyślnie poważne strony życia; strącić ją z poziomu ludzkiego do rzędu niższych stworzeń; zabijać w niéj uczucie godności systematycznem wdrażaniem do posłuszeństwa, do przymilania się, do skarbienia łask mężczyzny, za pomocą wdzięków, uczucia, talentow, dowcipu i t. p.; uczynić z jednéj płci dodatek w życiu drugiéj... a potem wzywać niewolnicę do pełnienia szczytnych cnót, znakomitych czynów—czyż to nie żart, barbarzyńska lub niezręczna obłuda? Sprobujcie wychować tak samo syna jak kształcicie wasze córki, a przekonacie się, czy ta uprzywilejowana istota przyda się na wiele społeczenstwu!...

Natura przecież, mniemana krzywdzicielka płci niewieściéj naprawia po swojemu ludzkie nadużycia. „Przejrzyjmy, historyę, mówi autorka, przeczytajmy zdania myślicieli, a wszędzie prawie po za wielkiemi dziejowemi faktami, po za męzkiemi hartownemi postaciami, ujrzymy twarz kobiecą, jéj paluszek i uśmieszek”... Istotnie, paluszek ten i uśmiech niemało znaczy w losach ludzkości. Zkąd bowiem uprzedzenie wygnało kobietę, tam wprowadziły ją innemi drogami: piękność, zręczność i miłość. Kobieta wbrew woli mężczyzny weszła do historyi, wpłynęła na zwyczaje, na charakter narodów, na religę, na moralność, na politykę... Wpływ jéj w ciągu wieków był cichy, niewidzialny prawie, lecz stanowczy. Wpływ ten i dzisiaj i w każdéj chwili kobieta wywiera na mężczyznę, chociaż niedoświadczona i bez wykształcenia użyć, na dobre władzy swojéj nieumie. Nie mogąc podnieść się do pojęć i upodobań przechodzących miarę umysłowego i moralnego jéj wzrostu nagina ona gwałtem ku sobie ideały towarzyskie... a wówczas moda staje się skalą wartości, błyszczący pozór występuje jako zasługa a próżność i nieuctwo jako zwyczaj. Wszyscy na tém cierpią, lecz z małemi wyjątkami wszyscy obstają przy dawnym trybie wychowania kobiety, lub jak to częściéj jeszcze się zdarza, widząc złe, obojętnie znoszą jego powód.

Lecz niedość na tém że wykształcenie potrzebném jest kobiecie do wypełnienia macierzyńskich i obywatelskich powinności; potrzebuje ona jeszcze pamiętać o samej sobie, choćby dla tego, że nie zawsze może spodziewać się opieki troskliwéj, wystarczającéj i długotrwałéj. Jako uboga sierota, jako biedna wdowa obarczona kłopotami familijnemi, i za przyszłość swych dzieci odpowiedzialna, lub wreszcie jako stara panna bez majątku, rodziny i stanowiska, kobieta często musi, nie powiemy *pracować*, ale *wysilać się na pracę* kosztem zdrowia i z nader szczupłym pożytkiem, musi nie tylko ciężko zarabiać na kawał suchego chleba, ale przyzwyczajać się jeszcze do saméj roboty, nie tylko walczyć z nędzą, ale i z własném nieuctwem... Musi mrzeć z głodu lub wyciągać rękę o litość.

Wykazawszy potrzebę nauki i rozszerzenia kresu działalności dla kobiet, p. D. przechodzi do rad szczegółowych i pedagogicznych rozważań, nad któremi tutaj zastanawiać się nie możemy. Wszystkie one, stosownie do punktu wyjścia autorki, każą mieć na względzie wychowankom ludzkie prawa kobiety i jéj potrzeby, jéj przyszły zawod i możność starczenia sobie saméj w jakiém bądź położeniu... Równość w obec nauki i równość w obec pracy, więcéj wiedzy i szersze pole do zasługi, nieoderwą nie wiasty od jéj istotnego powołania, nie wyziębią ognisk domowych, lecz przeciwnie, ułatwią jéj wypełnienie obowiązków i osiągnięcie celów zasianych ręką Stwórcy w sercu każdego człowieka. *D. Henkiel*

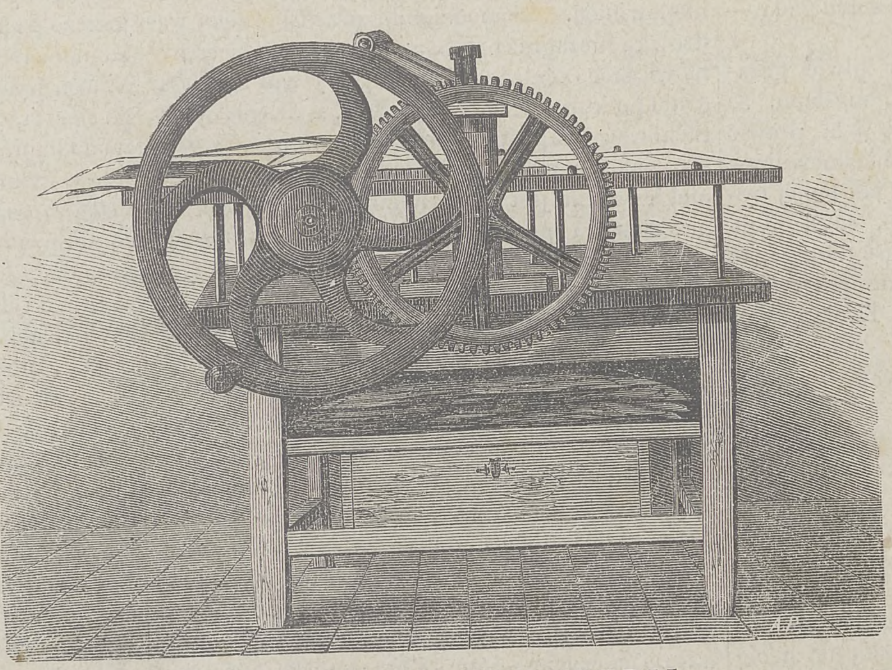
FOTOTYPIA.

Powszechnie mówi się iż fakta nie mogą się powtarzać w historyi—a jednak rzeczą jest pewną iż dwóch ludzi postawionych w tych samych okolicznościach zewnętrznych niezawodnie w jednakowy sposób starać się będą wyjść z trudnego położenia — jeżeli zaś zgodzimy się na to że ludzie wytwarzają fakta, dawna ta teorya upadnie—jakoż przykład tego mamy przed oczyma. Historya pierwszych dziesiątków lat istnienia wynalazku druku, do losów pierwszych odkryć fototypii najzupełniéj jest podobną. Tak samo jak Gutenberg, Fust i Schoiffer aby lepiéj ukryć wynalazek druku udawali pierwsze księgi swoje za rękopismy, tak też i znaczna liczba fototypii rozchodzi się pomiędzy kupujących od lat kilku pod egidą uznania i dobréj sławy jaką sobie fotografia przez swą przysłowiową dokładność naśladownicza zjednała.

Dziś fototypia weszła już stanowczo na drogę jawnéj produkcyi, przestała niemal być sekretem wynalazców, a za lada dzień otworzy sobie drogę, na któréj z litografią przyjdzie jéj ostateczną stoczyć walkę, a o ile przypuszczać można walkę zwycięzką. Okrągłe lat trzydzieści mija od ukazania się pierwszych odbić przedmiotów otrzymywanych sposobem Daguerra; podziw był ogólny, powodzenie ogromne, zdawało się iż niepodobna już nic doskonalszego nad to wymyślić i wynaleźć — a był to jednak dopiero początek, dopiero pierwszy krok na téj drodze. Drugim stopniem udoskonalenia sposobu Daguerra było odkrycie chemicznych odczynników, które pozwoliły na papier przenieść znikające z srebrnéj blachy pod wpływem działającego na nie światła i ciepła błyszczące widma oblicza ludzkiego — była to fotografia. Obecne dopiero zastosowanie téj ostatniéj do otrzymywania sposobem drukarskim przy użyciu prassy i wałka zabarwionego zwykłém węglowém czernidłem, odbić, niemniéj a raczéj więcéj dokładnych od fotografii a stokroć od niéj trwalszych, bo nieulegających wpływowi chemicznych odczynników,--uważać można za rezultat zupełny i zadowalający — bo łączący w sobie najwytworniejszą dokładność z szybkością, prostotą i trwałością wyrobu.

Te trzy stopnie jednego i tegoż samego wynalazku łączą się u nas z jedném i tém samém nazwiskiem. Najpierwszy i największy zakład daguerrotypowy, najlepszy i najprodukcyjniejszy w ukształceniu bardzo wielu pracowników zakład fotograficzny i wprowadzenie w życie fototypii podług sposobu Albertego zawdzięczamy p. Beyerowi; tu jednak przy tych ostatnich najusilniejszych i najwięcéj poświęceń wymagających pracach, napotykamy drugą pełną technicznéj doskonałości i mocy charakteru osobistość. Pan Dutkiewicz w ciągu ostatnich dwóch czy trzech lat złączył swoje usiłowania z wysiłkami p. Beyera, i tym to dwom niestrudzonym pracownikom na niwie fotograficznéj zawdzięczamy, iż od miesiąca posiadamy w Warszawie pod firmą pana Dutkiewicza otwarty zakład Fototypii. Droga, jaką szedł ten nowy wynalazek, da się streścić w następujący sposób: Pierwszymi odkrywcami sposobu otrzymywania wypukłych czcionkowatych powierzchni na płytach szklannych pociągniętych żelatyną zmieszaną z dwuchromianem potassu i wystawionych na działanie światła przechodzącego przez fotograficzną negatywę, byli Francuzi pp. Tessier du Mothay i Marechal. Próby tego rodzaju odbić okazywali wynalazcy na powszechnéj Wystawie w r. 1867 w Paryżu (*). Monachijski fotograf Albert od szczerodusznego a bezinteresownego p. Tessier'a sekret wynalazku otrzymawszy i nieco ulepszywszy, począł go za niemałe pieniądze na wsze strony rozprzedawać; ruch ogólny obudził się, jednocześnie poczęły powstawać zakłady fototypijne w Berlinie i Wiedniu. Wiedeński sławny fotograf Angerer znacznym nakładem urządziwszy zakład wprawił w ruch od razu kilkanaście prass, przekonawszy się jednak w prędce o niedokładności nabytego sekretu, zmuszony był zakład zwinąć; coś podobnego stało się i w Berlinie. Naszym pracownikom na tem polu lepiéj się poszczęściło, dotarli kilkoletnią pracą i niezmiernemi wysileniami a ciągłém badaniem do rdzeni trudności, zwyciężyli je i obecnie da Bóg zbierać będą owoce z niwy uważanéj przez wielu wytrawnych nawet techników za zupełnie płonną i żadnych nieprzedstawiającą widoków. Zakład fototypii p. Dutkiewicza dzięki dobréj sławie fotograficznéj naszych najdzielniejszych na tém polu pracowników, znalazł kredyt i uznanie. W krótkim czasie rozpoczął trzy ważne prace: Album Kopernika, tablice do Album archeologicznego Tow. Nauk. Krak. i reprodukcyę Tow. Zach. Szt. Piękn. w Król. Pols. z obrazu p. Kurelli Rybka, największą pod względem rozmiarów a zatém i najtrudniejszą do wykonania nowym sposobem; o piękności téj ostatniéj pracy członkowie Tow. Z. Sz. P. wkrótce będą mogli wydać wyrok.

Przyszłość fototypii jest świetna; nie ma gałęzi nauki, sztuki, rzemiosła i przemysłu, któréjby ona nie mogła przyjść z pomocą przez swą niezrównaną i niczém inném nie dającą się zastąpić dokładność odtworzenia, a któż przewidzi co nam przyniesie jeszcze dalszy rozwój tego wynalazku?....—



MASZYNA DO FOTOTYPII.

(*) Dokładniejszy opis procesu chemicznego, za pomocą którego otrzymuje się powierzchnia czcionkowata służąca do odbić fototypijnych podała Gazeta Warszawska w Nr. 243 z r. 1871.

ODSTAWA ZBOŻA.

Kommunikacye drogami żelaznemi zmieniają pod wielu względami postać krajów, które coraz gęściéj przerzynać poczynają; najwięcéj jednak wpływają na wozowy ruch wielkich gościńców. Idzie za tém ożywienie gościńców poprzecznych ściągających produkta surowe do pewnych najważniejszych ognisk handlowych. Skutkiem téj zmiany kierunków ruchu, skutkiem zmniejszenia się odstępów między punktem produkcyi a punktem zbytu, znikają coraz bardziéj te długie karawanowego pozoru sznury wozów lub sani obciążonych zbożem drzewem, lnem, konopiami, wełną i chmielem, którémi rynki handlowe kraj nasz zapełnia.

Czumackie maże wkrótce będą należały już do zabytków starożytności; dłużéj bezwątpienia utrzyma się kommunikacya zimowa na saniach jako przedstawiająca dwie ważne korzyści: raz iż odbywa się w porze wolnéj od zajęć około roli, powtóre jako bez porównania lżejsza dla naszych wiejskich pociągów drobnych rozmiarem i siłą. Dobra lub zła droga sanna wpływa też niemało, jak to wszyscy mieszkający po miastach wiedzą, na podrożenie lub obniżenie się cen wszystkiego, co na targi nasze bywa dostawiane. Podana przez nas w rycinie odstawa zboża przedstawia właśnie jeden z owych charakterystycznych rysów kraju naszego, kiedy pokryty grubym puchem śniegowym w ciszy zimowéj odpoczywa, kiedy te ogromne obszary białéj równiny ciemno-zielonemi lasami zakończone przerzyna spokojnym jednostajnym ruchem wlokący się długi sznur sań obładowanych zbożem. Głową a zarazem i ogonem tego żywego węża są ostatnie ozdobniejsze nieco saneczki, w których dostawcy produktu zasiedli — dozorując całości transportu i tworząc w drodze kombinacye jak najzyskowniejszego zbycia zgromadzonych łantów.

ROZMAITOŚCI.

— Przed kilku dniami odbyła się w Wiedniu w zarządzie Towarzystwa Żeglugi Parowéj na Dunaju próba nowéj machiny rachunkowéj pomysłu p. Galotzego. Na próbie znajdowało się wielu matematyków i ludzi biegłych w rachunkowości kupieckiéj. Nowéj machini zbudowanéj na wzór przyrządu Thomasa wszyscy obecni oddali sprawiedliwe uznanie, z powodu zadziwiającéj szybkości i łatwości z jaką wykonywa szczególniéj mnożenie i dzielenie liczb dowolnych.

Wydawca, Hipolit Orgelbrand. Дозволено Цензурою, Варшава 27 Декабря (8 Января) 1871/2 г. **Redaktor,** Mieczysław Orgelbrand. **Mag. Pr. i Adm.**

w Drukarni pod firmą S. Orgelbranda Synowie, w Warszawie ulica Bednarska Nr. 20.